

Pytań więcej niż było

Po nagłej informacji o upublicznieniu przez rząd zapisów rozmów z kokpitu tragicznego prezydenckiego Tu-154 nie sposób było wejść na strony internetowe Centrum Informacyjnego Rządu i MSWiA. Ludzie w tym samym czasie rzucili się do Internetu i przyblokowali go, ale już po kilkunastu minutach inne portale przejęły na siebie informowanie o stenogramie. Od tego momentu trwa dyskusja o jego treści. Dyskusja, która nigdy się nie skończy, nawet gdy zostaną ujawnione zapisy z drugiej skrzynki, znacznie ważniejszej dla wyjaśnienia tragedii, bo rejestrowała parametry lotu. Zostaniemy bez odpowiedzi na setki pytań, gdyż oddaliśmy prowadzenie śledztwa Rosjanom, a bez powołania międzynarodowej komisji, na którą jest już chyba za późno, nie ma na tym świecie żadnej siły, która zweryfikowałaby prawdziwość zapisów czarnych skrzynek, których kopie, a nie oryginały odebrał z Moskwy polski minister spraw wewnętrznych.

O tym, że na pewno trafią one do nas, media trąbiły od tygodni i to z takim uniesieniem, jakby miał to być jakiś arcyważny prezent od braci Moskali czy wręcz podarek zwiastujący początek nowej przyjacielskiej ery w polsko-rosyjskich stosunkach. Gdy jedni wyrażali ciche zadowolenie, że oto znajdzie się dowód na udział prezydenta Lecha Kaczyńskiego w decyzji o tragicznym lądowaniu, inni mieli w uszach łacińską sentencję Wergiliusza: „Timeo Danaos et dona ferentes” (Boję się Greków, nawet gdy przynoszą dary.)

Przed wielu laty pewien wileński akowiec tłumaczył mi, na czym w czasie wojny polegała różnica między niemieckim a sowieckim oprawcą. Na tym, że gdy Niemiec skazywał więźnia na rozstrzelanie, to wiadomo było, że odbędzie się to zgodnie z planem, w wyznaczonym terminie. Osadzony w sowieckim więzieniu mógł być natychmiast rozstrzelany z wyrokiem czy bez, i to w dowolnym dniu, także w niedzielę, albo mógł zostać powieszony czy wywieziony na Sybir, albo jako kompletnie zapomniany mógł zgnieć w więzieniu z głodu. Kres polskiego losu był ten sam, ale okoliczności, jakie temu towarzyszyły, różniły się w zależności od okupanta. Jest prawdą, że najgorszą rzeczą dla człowieka osadzonego w celi śmierci jest męka niepewności jego ostatniej drogi.

Z takim to podobnym odczuciem lęku i niepewności przeglądamy stenogramy rozmów pilotów w kokpicie. Ich zapisów ujawnionych najpierw na specjalnym posiedzeniu BBN nie chciał jednak poznać poszkodowany Jarosław Kaczyński. Jak słusznie zauważył, zapisy te powinny być w pierwszej kolejności znane rodzinom zabitych w katastrofie, ich pełnomocnikom, a nie politykom. Tym bardziej że wielu polityków już od dawna brało udział w propagandowej „padgatołce”, której sens sprowadzał się do przerzucenia całej winy na załogę polskiego samolotu.

Zapisy odnotowują obecność w kabinie pilotów dyrektora protokołu dyplomatycznego MSZ Mariusza Kazany. Pada też zdanie: „na razie nie ma decyzji prezydenta, co robić”, co już samo w sobie może sugerować, że taka prezydencka decyzja, co

do dalszego lotu tupolewa, mogła się pojawić, tym bardziej że połowy rozmów czarna skrzynka, nie wiedzieć czemu, nie zarejestrowała. Nie zarejestrowała w oryginale czy w kopii? Pytań jest dziś jeszcze więcej niż przed ujawnieniem zapisów czarnej skrzynki. Dlaczego prawie co drugie zdanie ze stenogramu było uznane za nieczytelne. Dlaczego nie słyhać, co mówią piloci ze słuchawkami na uszach i z mikrofonem przy ustach, a dobrze było słyhać i dyrektora Kazana, i generała Błasika. Okazało się też, że tak jak z ziemi widziano samolot, tak piloci widzieli ziemię, a więc mieli z nią kontakt wzrokowy przy tak ponoć gęstej mgle. Zresztą ta mgła bardzo ich zdziwiła (pilot: „Ale dziesiąta i mgła?”). Tym bardziej to dziwne, że przed tragicznym samolotem prezydenckim lądował inny, a mgła ma to do siebie, że najczęściej podnosi się w miarę upływu dnia, a nie opada. Nagrania zapisów rozmów z czarnej skrzynki bardziej komplikują wyjaśnienie tragedii niż ją wyjaśniają. W kabinie pojawia się też niezidentyfikowany jeszcze głos, który mówi o wysokości 400 metrów.

Wątpliwości może też budzić rosyjskie tłumaczenie. Czy zdanie pilota ze stenogramu: „może nie bydiet straszno” należało przetłumaczyć na polski: „może nie będzie tragedii”. Z pewnością piloci nie myśleli i nie mówili o tragedii, gdyż zakładali, że nie wylądują na tym lotnisku, jeśli warunki pogodowe im nie pozwolą. Szykowali się przecież na podniesienie maszyny i lądowanie na trzech awaryjnych lotniskach w Moskwie, Witebsku i Mińsku.

Dokument (stenogram) ze strony polskiej podpisali Waldemar Targalski i Sławomir Michalak. Zabrakło podpisu trzeciego polskiego przedstawiciela w Moskwie, ppłk. Bartosza Stroińskiego. Dlaczego?

Dzień po opublikowaniu stenogramu dowiedzieliśmy się, że dla Moskwy stenogram nadal jest tylko wstępnym i nieoficjalnym dokumentem.

Wojciech Reszczyński

200Nasza Polska 08.06.2010